DZIŚ I JUTRO

PISMO DLA MŁODZIEŻY ŻEŃSKIEJ

WYCHODZI 1. i 15. KAŻDEGO MIESIĄCA.

ROK III. 1. GRUDNIA 1927. № 21.



„TRAHE NOS, VIRGO IMMACULATA,
POST TE CURREMUS...“

RORATE COELI.

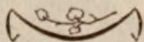
Jako całunem śmierci pokryte zwłoki, tak pogrążony był świat w ciemnościach grzechu. Wszystko zawiodło i świat uczuł, że stoi u progu przepaści. „Zgrzeszyliśmy i staliśmy się podobni do trędowatych. Jesteśmy jako liście zwiędłe, co z drzewa spada, a złości nasze unoszą nas jako wiatr. Ukryłeś przed nami Panie oblicze Swoje i pozwalasz ginąć w nieprawościach naszych“ [1]). „O Mądrości, coś wyszła z ust Najwyższego, o Adonai, wodzu Izraela, Jutrzenko wiekuistego Światła, Królu i utęsknienie nasze, przyjdź!“ [2]). „Ocknij się, czemu śpisz, o Panie! Ocknij się i nie odtrącaj na zawsze!“ [3]). A wołanie rośnie i wzmaga się... i zdaje się zostać bez odpowiedzi...

Ale Ten, „który zasiada na Cherubinach, a upatruje przepaści“ [4]), „który zapewnia Swe dzieci, że myśli o nich myślami pokoju, a nie udręczenia“ [5]), „bo miłością wieczną umiłował je“ [6]), „On, choć śpi, lecz Serce Jego czuwa“ [7]). A nad biedną zbłąkaną ziemią zaczyna się unosić zrazu cicha, daleka, a potem coraz to rosnąca pieśń: „Pociesz się, pociesz się, ludu mój, rychło przyjdzie zbawienie. Czemu pożera cię smutek, czemu blednie oblicze twoje? Ja cię zbawię, nie bój się, bom Pan twój i Bóg, Święty Izraela“ [8]). ...Nie usłyszały jej uszy, nie ujrzały ich oczy... Ale jak drgają struny, gdy zabrzmią inne, tak i serca ludzkie zrozumiały. I równie cicha, a w tęsknej miłości oczyszczona zabrzmiała odpowiedź: „Oto idzie Pan, a z Nim tysiące Świętych“ [9]). Przyjdź! Przyjdź! Panie Jezu!“ [10]).

---

[1]) Z Hymnu Kość.; [2]) z Antyfony Adwent.; [3]) Ps. XLIII. 23; [4]) Dan. III. 55; [5]) Jer. XXIX. 11; [6]) Jer. XXXI 3; [7]) Pieśń V. 2; [8]) Z Hymnu Kość.; [9]) z Antyf. Adwent.; [10]) Obj. XXII. 20.

M. L.



CO DOSTALI OD ŚW. MIKOŁAJA: WCZORAJ, DZIŚ I JUTRO?...

Kto to jest Swięty Mikołaj?

Każdy odpowie, że to jest święty, a na imię mu Mikołaj. Jest siwy, stary — to dosyć wiedzieć o nim.

A czemu siwy?

Bo stary.

A czemu stary?

Bo się zestarzał.

No dobrze, ale co on robi, chodząc po tym świecie?

Odpowiecie mi, że przychodzi raz w rok, a więcej nikt go nie widzi.

Ale ja wam powiem, że niewiele wiecie, bo sprawa ma się trochę inaczej. Nie wiem, czy prawda, czy nieprawda, ale może...

Wyszedł sobie Święty Mikołaj z pełnym koszem różnych dobrych rzeczy i puścił się w drogę, w świat. A tu nagle obskoczyło go trzech łobuzów, jeden chwycił go za rękę, drugi przyczepił się do kosza, a trzeci zaczął ciągnąć za płaszcz.

— Idźcie sobie chłopcy, nie przeszkadzajcie mi — prosił święty.

Ale gdzie tam. Niema rady na tych łobuzów.

— A jak wam na imię?

— Wczoraj, Dziś i Jutro!

A gdy to usłyszał św. Mikołaj, zatrzymał się, zdjął koszyk z pleców i zamyślił się głęboko. Chłopcy stali pochyleni nad koszykiem i czekali na dary.

Ale święty wiedział, że tylko Dziś może przyjąć jego podarunki, bo Wczoraj i Jutro mają przeźroczyste ręce, nie do takich

rzeczy... Więc zamyślił się święty, bo nie wiedział, co im dać.

Nagle twarz jego rozjaśniła się. Wziął w rękę złote promienie płynące ze słońca, utworzył z nich wzorzystą tkaninę i dał je chłopcu Jutro, mówiąc:

— Weź te marzenia złote, bo to tylko mogę ci dać.

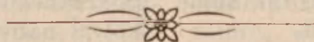
A potem zgarnął z obłoków nieco śnieżnego puchu i dał go chłopcu Wczoraj, prosząc, by te jasne wspomnienia przeszłości nie zaszły nigdy żadną skazą.

Wreszcie otworzył swój pełen kosz i pozwolił chłopcu Dziś brać dla siebie wszystko, co zechce, więc i śmiech, i radość, i wesele...

Odtąd idą za św. Mikołajem ślad w ślad Wczoraj, Dziś i Jutro i cieszą się jego darami.

A św. Mikołaj wie, że przyjdzie czas, kiedy Wczoraj rozpłynie się w śnieżnej mgle, Jutro w złotych promieniach i zostanie jeden radosny, szczęśliwy, wiekuisty Dziś!...

A. Crucsy.



ESTETYKA WILLIAMA HOGARTHA.

Często jeszcze słyszy się takie zdania, jak, że sztuka nie ma nic wspólnego z moralnością i że nie potrzeba obserwacji usilnej a bystrej, jak się wyjawiają ludzkie usposobienia, skłonności i charaktery, do tego, aby móc oddziałać skuteczniej a trwalej na ludzkie postępowanie, że wystarczy w kimś rozpętać wzruszenia lub namiętności, aby go przerobić na istotę lepszą wedle swoich ocen. Żywo przeczy tym powierzchownym uprzedzeniom, przeoczającym obopólne zależności między naszem życiem umysłowem a uczuciowem, cała spuścizna artystyczna wielkiego malarza angielskiego Williama Hogartha, którego żywot zszedł się prawie całkiem dokładnie datą swych urodzin i śmierci z czasami saskiemi w Polsce. Niezmiernie wrażliwy i czujny na wszystko, co tylko widział w okół siebie śmiesznego, krótko wzrocznego i szkodliwego na dalszą metę, tak dla ogółu, jak dla samych jednostek rozluźnionych obyczajowo, dawał Hogarth jednocześnie folgę wrodzonemu pociągowi i uzdolnieniu do satyry, a zarazem uświadamiał sobie pożyteczną jego przekonaniem misję społeczną, owoce zbawienne, których się spodziewał z ośmieszenia z różnych zdrożności i występków, z ostrzeżeń i unaocznień, do jak fatalnych wiodą one następstw i jak z nienacka wpadają nieroztropni w sidłazastawione na nich przez przewrotnych. Tak np. w cyklach malowideł i sztychów, przedstawiających losy „modnego małżeństwa“, „kurtyzanię“, „lekkoducha“, w cyklu malującym kontrast między karjerą czeladnika pracowitego, który uzyskuje rękę córki pryncypała i zostaje wkońcu burmistrzem Londynu, a jego kolegi próżniaka, staczającego się stopniowo na dno zbrodni i ostatecznie skazanego na śmierć przez swego dawnego towarzysza. Są to nieprześcignione arcydzieła humoru, werwy dramatycznej, chwytów obserwacji na gorącym uczynku, wspomaganych dzielnie przez wyobraźnię, gdy Hogarth przy jej pomocy domyślał się zdarzeń i sytuacji, których zapewne nieoglądał naocznie, jak szulerni urządzonej na cmentarzu, albo tego, co się działo w chwilę po zamordowaniu modnego małżonka przez uwodziciela jego żony. Tylko pewne braki kompozycji i perspektywy nie uszły uwagi krytyków. W pouczeniach moralnych, które zamierzał dać twórca ich obrazów, objawił się zresztą zadomowiony oddawna w Anglji utylitaryzm, zbyt różowo optymistyczny, czyli przekonanie, że cnota zawsze przynosi namacalne w tem życiu pożytki, a takaż kara oczekuje już tutaj każdego, kto na nią zasłużył. Jakkolwiek

H o g a r t h swym gryzącym dowcipem i alucjami do żyjących osób zgotował sobie mnóstwo zawziętych wrogów, to jednak powodzenie jego satyr obyczajowych i rodzajowych, zrozumiałych dla każdego widza i bez komentarzy pisanych, które dostarczał, było tak żywiołowe i massowe, iż nie sam jego talent tłomaczy nam je, ale może raczej okoliczność, że wspólne właściwości ówczesnego angielskiego charakteru narodowego, dążenia, potrzeby, poczucie rozdźwięku między życiem, jakie było faktycznie, a tem, jakie powinno było być, u nikogo nie wyraziły się tak silnie i obficie, jak w jego kreacjach.

Nie poprzestał jednak na tem powodzeniu i nie bez skutku starał się niekiedy o nadanie wdzięku i piękna, co mu się szczególnie udało w portrecie sławnego aktora G a r r i c k a i jego żony, oraz w studjum sprzedawczyni krawatek, podczas gdy próba wymalowania „bolejącej Ghismondy“ Turiniego piękniejszą, niż była na oryginale, ściągnęła nań gromy, a dopiero późniejsi krytycy osądzali ją przychylniej.

Najwymowniejszym wszakże i najciekawszym tematem tego zainteresowania się malarza twarzy naogół nieponętnych, a często odrażająco brzydkich, kwestja, na czem polega piękność, jest jego książka p. t. „Analiza piękności“ wydana w r. 1753. Miażdżyli ją jedni krytycy, wychwalali inni, n. p. L e s s i n g, chociaż poczynił później pewne zastrzeżenia. H o g a r t h stara się w niej wykazać, jakie warunki w ukształtowaniu przedmiotów widzialnych są potrzebne do tego, by wywołać żywsze dla nich upodobanie. Instancją decydującą jest w jego oczach doświadczenie tak, jak było nią dla większości myślicieli angielskich od czasów Bacona i Locke'a a nawet już dla niektórych średniowiecznych ich poprzedników. Na przykładach rycin zamieszczonych w tem dziele usiłuje uwidocznić, apelując do własnych doświadczeń każdego widza, iż oglądanie pewnych figur i linij sprawia większą przyjemność, niż oglądanie innych. Możnaby go nawet z tego powodu nazwać przedsłannikiem eksperymentalnej estetyki wieku XIX. Zstępuje bowiem do elementarnych wrażeń, dających się dowolnie wypróbować i porównać, a zarazem zmieniać przez stopniowe przesuwanie kierunków linij. Przestrzega już w przedmowie, żeby nie mieszać do estetyki postronnych kątów widzenia tak, jak to czynią ci, co po wielu uczonych rozprawach o pięknie, gubią się wśród poszukiwań przyczyn tegoż i powracają na szeroką, utartą drogę moralnej piękności.

Okoliczność, iż H o g a r t h sam był malarzem, odbiła się na metodzie jego poszukiwań i dowodzeż. Nietylko zużytkował nabytą w tym zawodzie znajomość perspektywy i światłocienia, ale liczył się też w znaczniejszej mierze, niż dotychczasowi estetycy angielscy, z doświadczeniami i poglądami wielkich artystów przeszłości. Z tych wymienia, jako mistrzów swoich: L e o n a r d a d a V i n c i, D ü r e r a i M i c h a ł a A n i o ł a. Zwłaszcza przekazana przez L o m a z z a rada tego ostatniego, dana rzekomo uczniowi M a r k o w i ze S i e n y, iż powinien tworzyć figury o kształcie piramidy, wężykowate i potrójnie urozmaicone, posłużyła H o g a r t h o w i za punkt wyjścia dla całej jego teorji o stopniowaniu piękności linji, dalej płaszczyzn i wielkości trójwymiarowych. Tego powoływania się na wybitnych twórców, nie należy brać w sensie hołdów dla jakiejś nietykalnej powagi. Był to raczej niedość uświadomiony przebłysk prawdy, że w duchach, które tworzą piękno w sposób szczególnie oryginalny i wstrząsający długie szeregi pokoleń, odczucie jego podstawowych własności jest żywsze i stanowi bezpieczniejszy sprawdzian ogólnych warunków podobania się. Samowolnym zaś raczej wybrykiem, charakterystycznym co najwyżej dla niektórych ówczesnych prądów w sztuce było, gdy H o g a r t h, nawiązując do owej rady M i c h a ł a A n i o ł a, wzywał, by patrzyć na kształty, nie jako na coś wypełnionego, mającego pewną miąższość i zawartość, ale jakby na skorupy we wnętrzu puste, złożone z mnóstwa ograniczających je linij, tak, jak gdyby tylko te linje i ich połączenia, — a nie masa widziana lub przy-

najmniej wyobrażona poza powierzchniami — miały wpływ na upodobanie lub na niesmak. Tak wysunął jednostronnie i wytwornie na pierwszy plan kontury linijne i zacieśnił bez dostatecznej podstawy zakres uczuciowej tonacji, czy zabarwienia wyobrażeń rozciągłości i kształtu. Kartę tytułową swego dzieła, napisanego, wedle wyraźnej wzmianki poniżej samego tytułu, z zamiarem ustalenia falujących pojęć o smaku, zaopatrzył Hogarth figurą, przedstawiającą piramidę na podwalinie prostokątnej, zaś w przeźroczystem jej wnętrzu linję wężykowatą z napisem u dołu: „rozmaitość". Już w r. 1745 umieścił był nad jednym ze swych miedziorytów takąż linję i scharakteryzował ją słowami: „linja piękności". Teraz na życzenie znajomych objaśnia, co mają znaczyć te lakoniczne symbole i słowa i jaki jest uzasadniony ich sens.

Głównemi cechami piękności są w oczach Hogartha: odpowiedność części do ich specjalnego przeznaczenia i do celu całości, oraz tychże rozmaitość. O nich też rozprawia najpierw, podczas gdy inne własności piękna, jak jednolitość formy wraz z towarzyszącą jej regularnością i symetrją, prostotą, wyrazistością, komplikacja i wielkość uchodzą mu za cechy pochodne, wynikające z obu pierwszych. Wogóle okazuje się ten estetyk przeciwnym zbytniemu ujednostajnianiu rzeczy, roszczących sobie pretensje do miana pięknych, i żywi przekonanie, że sama jedność celu, któremu są podporządkowane poszczególne części pięknego przedmiotu, wytwarza już w nim dostateczne powiązanie i przejrzystość całości — przeciwnie zaś szkodzi piękności nadmierne staranie się o jedność zapomocą upraszczania i zbytniego upodabniania części między sobą, bo grozi to monotonią i zubożeniem części.

Dr. Witold Rubczyński,
(Prof. Uniw. Jagiell.)

(Dok. nast.)

CZY TO SEN?...

Czuję przez sen tchnienie zimy —
Widzę wokół śniegu biel.
Płatki tańczą jak me rymy —
Tyle śniegu — —
tyle śniegu — —
Ziemia biała, niebo białe —
Nigdzie końca, nigdzie brzegu! —
tyle śniegu — —
tyle śniegu — —
Wszędzie biało — — Czy to sen?...

Oczy moje dziwnie marzą —
W sercu mojem nowy brzask.
Wszelkie plamy dziś mnie rażą,
rażą cienie — —
rażą barwy — —
Nawet słońca razi blask!...

— — Tyle śniegu — — —
Więcej śniegu! — —

Niechaj wtonę w biały puch!
Niech mię płatki ukołyszą,
Niech mię wplotą w lekki ruch. — —

Tak bez końca — —
Wciąż — bez końca,
Niech uciszą, ukołyszą. — —

Tyle śniegu — —
tyle śniegu — —

Nigdzie końca — nigdzie brzegu —
Wszędzie biało — — Czy to sen?...

Zofja Chądzyńska.

PRZED PASTERKĄ.

— ...Ty bo zawdy gapa do niczego! Nigdy nie zadzwonisz w czas!... — dogadywał ze złością Michałko Wawrzonów.

— Zabaczyłem... — tłómaczył się Jaśko.

— Pomnij se, by to był ostatni raz, bo cię spierzewa, że ha!...

— Nie zabaczę.

Jasiek Zmuda, wysoki siedemnastolatek, górował nad współtowarzyszami i zapowiedź malców, że go spiorą, mogła wydawać się śmieszną każdemu, kto nie znał jego łagodnej potulności. W rzeczywistości nie było w tem nic dziwnego. — „Niezguła ani do czego“, — „Wielki jak bojar, a głupi jak baran“, — taką była jednomyślna opinja o nim całego Zalesia. Teraz kroczył uroczyście z gromadką chłopaków od chaty do chaty, przedstawiali bowiem „Herodów“. Pośpieszyli się i wyszli zaraz po pośniku czyli wilji, by zebrać plon sławy i podarków, zanim przyjdą „Herody“ z Szerokiej Woli, sławne gębacze, które zwykle całą okolicę obchodziły, nie dopuszczając ze sobą rywalizacji. Pierwszy to raz Zalesińscy zebrali się przedstawiać sami. Udało się im nad podziw. Szerokie, zlotym papierem oklejone pasy Heroda, feldmarszałka i trzech przybocznych rycerzy, lśniły czarodziejsko, połyskiwały drewniane srebrzone pałasze, korona niegodziwego króla sterczała groźnie w górę ostremi zębami. Z pod wywróconego włosem na wierzch kożucha okrywającego djabła, zwieszał się długi i prawdziwy krowi ogon. Wysmolony na gębie sadzami, z rogami z tektury, szatan ten szczękał łańcuchem i szturchał przechodzących widłami. W długiej po pięty koszuli i masce z białego papieru, towarzyszka jego, śmierć, kołatała zgryźliwie kosą, a zagadnięta piszczała cienkim, przenikliwym głosem. Rycerze huczeli basem, Jaśka Niezgułę zabrali ze sobą, bo pięknie śpiewał, nosił przytem za niemi rozpiętą na dwu drągach płachtę, stanowiącą kulisy. Ukryty za nią w czasie przedstawienia, ciągnął wysoko, a tak żałośnie, że gospodynie wzdychały:

— „Oj biada, biada, mnie Herodowi,
— Utrapionemu wielce królowi...“,

lub też hucznie i buńczucznie, że aż szyby drżały w oknach:

— „Dziś dzień Heroda, dziś dzień [bogaczu,
— Dziś dzień wesela, ale nie płaczu“...

Dzwonił także zawzięcie, niby na pożar, gdy na scenę wkroczyć miał anioł z głośnym pochrzęstem bibułkowej szaty, wieszczącym, że to anioł jest nie bylejaki. Z tem dzwonieniem jednak była bieda, bo zawsze się spóźniał, za co mu towarzysze obiecali lanie.

Zdążyli już obejść zamożniejsze chaty, a sakwy potrząsającego olbrzymią brodą konopiastą dziada pełne były smakołyków, gdy Herod-Michałko rzucił myśl doniosłą;

— Jakbyśwa teraz zaszli do Białkowa?

— A zdążywa wrócić doma przed Pasterką?

— O reta! dyć w trzy pacierze tam i nazad wrócim!

— To ci Woleńskie się zdziwią!

Ruszyli szparko przez wieś skupioną, cichą, ale pełną ruchu. Jasne kwadraty oświetlonych okien kładły się ciepło na zoranym kolejami śniegu drogi. Wokoło każdej chaty snuli się zwolna, obrzędowo ludzie, sprawiający misterja Godowe. Gospodarze okręcali drzewiny w sadach powrósłem ze słomy i siana, czasu pośniku pod stołem leżącego splecionem, a potem przyłożywszy siekierę do drzewa pytali groźnie, zali będzie rodzić? Podejrzliwe staruchy wyzierały przez okna, czy sąsiadka nie podrzuca śmieci na podwórko, by pchły i inne robactwo do nich od siebie na cały rok wywieść. Dziewczęta z łyżką nieobtartą w ręku, stawały przy płocie nadsłuchując skąd pies naprzód zaszczeka,

co nieodmiennie wróżyło z tamtej strony swaty. Gospodynie poiły krowy i inną żywinę wodą, w której rozkruszony był święty opłatek. Parobczaki wiązali bąki czyli trzaskawki do batów, opatrując wozy, bo wiadomo, na pasterkę trza jechać co siły w koniach, a szczęśliwy któren pierwszy stanie przed kościołem. Dzieciaki pełne trwogi lecz ciekawe, wsuwały się cichaczem do obór podsłuchać jak bydło mówi ludzkim głosem. Wesoła Maryśka od Kurków przechwalała się przed rówieśnicami gałęzią wiśni, która w wilję św. Andrzeja zerwana i do butelki z wodą na piecu wsadzona, rozkwitła cudnie dziś właśnie. Dziewuchy z zazdrością oglądały wiotki kwiat, drżący na zimnie jak płateczki śniegu i patrzyły na nią, jakby na już zaręczoną. Starzy gospodarze powróciwszy z sadów, ciskali w izbach owies z miodem do pułapu, z ilości przylepiających się do belek ziarn wróżąc latosi urodzaj chleba. Ponad wszystkiemi zaś temi zabiegami leżała w górze ciemno-modra noc, cicha, uroczysta, wielka, wyzłocona ćwiekami tysiącznemi gwiazd, pełna czekania i świętości Godów. — Noc usprawiedliwiająca wszystkie czary i zaklęcia ku pozyskaniu błogosławieństwa Bożego wiodące, skoro w tęsamą Noc właśnie przed wiekami jawił się ciałem żywem Cud najczarowniejszy, ziściła najdziwniejsza wielka Tajemnica...

Chłopcy szli szybko przez niewielki las, śpiewając dla rozgrzewki i skrócenia czasu:

— Leży, leży Jezus malusieńki,
W szopce zimno, a On nagusieńki...
Przyszła Panna, siankiem Go okryła,
Taka pościel Jezusowa była...

— A tobie co? — spytał nagle ze zdumieniem Antek, oglądając się na Jaśka.

— Czego buczysz, ty przygłupku?

— Z mrozu chyba?

— Strasznie mi Dzieciątka szkoda — wyszeptał Jasiek, ocierając łzy rękawem.

— Bez co?! — aż stanęli ze zdziwienia.

— Na zimnie... psiaka byś nie wygnał, a Dzieciąteczko leżało...

— Et! dyć se teraz króluje w niebie Panjezus, nie bieda Mu...

— Ale co się wpierw nacierpiało niebożątko... reta!...

— Sam tak chciał...

— Właśnie bez to mi szkoda, że sam chciał... — tłómaczył Jasiek, ale nie zwracali już na jego gadanie uwagi. Gdy ruszali, Michałko-Herod ogarnął wzrokiem mazgaja i naraz skrzywił się niechętnie.

— Oberwanyś jak dziad... — zauważył.

— Ano, — przyznał Jasiek, spoglądając na siebie z zakłopotaniem.

— Wstyd w obcej wsi się pokazać... Białkowskie pomyślą, że w Zalesiu wszystkie takie...

— To ostanę — zaproponował Jasiek — jeno kto płachtę poniesie?

— Antek niech dźwiga...

— To już lepiej niech on idzie — buntował się Antek. Przedstawiał żyda i plątał się w długim chałacie. Pejsy z pakułów zwieszały się śmiesznie pobok zatroskanej twarzy. — Niech idzie, za płachtą go przecie nie widno...

— Cichoj! na drodze go za płachtą nie skryjesz..

— Nie poradzicie śpiewać sami...

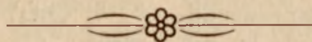
— Ojej! poredzimy! Wróć sie Jaśku, wróć...

Zawrócił, bynajmniej nie urażony. Oberwany był, bo był, — co tu gadać. Łokcie wyłaziły na wierzch wśród frędzlistych dziur, — kolana dawno wypchnęły się na świat Boży. Skąd by mogło być inaczej? Służył za sam wikt i przyodziewek. Dwa ata temu gospodarz dali mu ten lejbik galancie go przedtem znosiwszy. Od ciężkich naręczy drzewa, od pracy ciągłej nieoszczędnej, samodział rozlazł się na nic. Sam gospodarz uznał, że przyodziewek parobka jest już trochę kiepski i obiecywał, że na przyszły rok zbierze się może na nowy. Szedł więc lasem, śpiewając zrazu, lecz milczenie wkoło było tak wielkie, las tak uroczysty, że umilkł, bo raził go własny głos. W niezmiernej ciszy słychać było tylko czasem, jak czapa śniegu sunie się z gałęzi, zapadając miękko w śnieg. — Idącemu przyszło na myśl, że przecież nie warto wracać do Zalesia, skoro i tak trza niedługo iść do Woli na Pasterkę. Ztąd do Woli znacznie bliżej.

Pójdzie nie śpieszący się i w zaciszu gdzie pod płotem zaczeka, aż na mszę zadzwonią.

Nie minęło parę pacierzy, gdy wyszedłszy z lasu zobaczył rozsiane światełka wsi Szeroka Wola. Kościół czerniał na wzgórzu, zamknięty jeszcze i nieoświecony. Czasu było dość. Przysiadł więc na rozkładających się nisko po śniegu gałęziach młodego świerku, wtulił w gościnną głąb drzewa, osłonił grzbiet pniem od wiatru i siedział spokojnie, chuchając tylko raz wraz w ręce, bo mróz brał siarczysty. Siedząc, nucił sobie cichutko kolędę i spozierał co chwila na kościół. Aż raz tak spojrzawszy, drgnął nagle i przetarł uważnie oczy. Wydało mu się, że przed drzwiami coś połyska. Przetarł ponownie i wstał, wytężając wzrok. Na tle zamkniętych wrót kościelnych drgało światło jasne, ciepłe, tak dziwnie ku sobie przyzywające, że Jasiek ani się namyślając, począł iść ku niemu. Ono zaś rosło w miarę jak szedł, rozszerzało w kształcie kręgu, aż objęło całą framugę wejściową. Gdy zbliżał się powoli, niby urzeczony, nie wiedzący sam co czyni, zdało mu się, że rozróżnia w tym jasnym okręgu promienniejsze od światła postacie. Jak człowiek śpiący, który w śnie przyjmuje każdy dziw jakoby rzecz zrozumiałą, — Jasiek nie zdziwił się ani nie zdumiał, rozpoznawszy Najświętszą Panienkę i stojącego obok św. Józefa. Oni to byli bez najmniejszego wątpienia, w dostojnej słodyczy swej glorji. Oboje chylili święte głowy nad czemś, co tuż przy ziemi jaśniało jak słońce. Przejęty szczęściem tem samem, które przenikało serca betleemskich pastuszków, zbliżał się Jasiek na klęczkach, orząc gołemi kolanami w śniegu, który wydał mu się miękki i ciepły jak puch. Podpełznął blizko i zamarł w zachwycie: Bez żłóbka, lecz wprost na kamiennym progu leżało Boże Dzieciątko! Nie miało nawet słomy podesłanej, ledwo zawinięte w potarganą zgrzebną szmatę. Dokoła główki drżała obrączka świetlista. Oczęta były stulone, cyt, cyt... zasnęło Boże Dzieciąteczko...

(C. d. n.). *Zofja Kossak-Szczucka.*



HONOR PEGGY.



Uczyłam się prywatnie, nie uczęszczając do szkoły.

Pierwsza przygoda, jaką sobie przypominam, zdarzyła się, kiedy miałam jeszcze domową nauczycielkę i uczyłam się prywatnie, nie uczęszczając do szkoły. Moi rodzice byli nieobecni; wyjechali na dłuższą podróż i zostawili mnie pod wyłączną opieką mej nauczycielki, osoby, którą matka moja dawno znała i której ufała zupełnie.

I to wszystko się stało — mówię o przygodzie — z powodu lekcji tańca.

Chodziłam na te lekcje co czwartek popołudniu. Zawsze odprowadzała mnie moja nauczycielka, a po lekcji także przychodziła po mnie.

Strasznie byłam o to zła na nią. Nigdy nie pozwalała mi wychodzić samej. Bóg wie dlaczego! Oczywiście, ponieważ mi to nie było wolno, marzyłam o tem, jak o największej przyjemności.

Pewnego czwartku, w chwili kiedy miałyśmy wychodzić, dawna znajoma mej nauczycielki niespodzianie przyszła ją odwiedzić i wobec tej okoliczności Miss Greene poleciła mi iść z pokojówką.

Ja oczywiście słowa nie powiedziałam pokojowej i wyśliznąwszy się tylnemi drzwiami, poszłam na lekcję sama.

Pogoda była śliczna, a ja byłam bardzo podniecona. Pędziłam przez ulicę w sposób, który byłby zgorszył moją nauczycielkę. Droga była niedaleka, ale możecie być pewne, że ja wybrałam najdłuższą.

Kiedy doszłam wreszcie do szkoły, było już późno, a garderoba była pusta.

Przynajmniej tak mi się wydawało.

Ale w chwili gdy zapinałam ostatni guziczek lakierka, ozwało się stłumione i pewno długo wstrzymywane kichnięcie, które mnie tak zaskoczyło, że zerwałam się przestraszona. W tejże chwili długi płaszcz osunął się z kołka i upadł z szelestem na ziemię. Spojrzałam w tę stronę i ujrzałam jedną z uczenic przytuloną do ściany. Dotychczas ukrywała się za płaszczykiem.

Znałam ją, ale nie byłyśmy w przyjaźni. Dlaczego, żadna z nas właściwie nie wiedziała. Nie lubiłyśmy się i koniec.

Spojrzałam na nią oniemiała ze zdumienia.

— Ruta Field! — wykrzyknęłam.

— Peggy Warren! — przedrzeźniła zupełnie obojętnie i podnosząc okrycie, powiesiła je znowu na kołku z przesadną starannością.

Ale płaszczyk ją zdradził.

Starała się ułożyć fałdy w pewien sposób, ale fałd się odchylił i ja zawołałam „Och!", mimowoli.

Było to śliczne okrycie przybrane futerkiem i podbite atłasem, a teraz pod owym fałdem płynął strumień atramentu, jeszcze świeży i ociekający!

Płaszczyk należał do najbogatszej pa-



Nie jestem skarżypytą!

nienki w szkole, Miss Dale, która była też snobką i ogólnie nielubianą.

Spojrzałam raz jeszcze na Rutę i spostrzegłam, że trzymała jedną rękę w kieszeni. Nie spodziewała się, że jej nagłym ruchem rękę z kieszeni wyciągnę, i — buteleczka atramentu upadła na podłogę.

Była pusta.

Dziwną dziewczyną była Ruta Field. Nazywałyśmy ją: „twarz z drewna", tak pozbawiona była wyrazu. Blada jej twarz nigdy się nie rumieniła, nawet w najprzykrzejszych okolicznościach.

Spojrzała mi prosto w oczy z zupełną swobodą i zaczęła mówić cichym, urywanym głosem:

— Miss Dale wyśmiała mój własny płaszcz parę dni temu i postanowiłam się zemścić — uczyniłam to, — a ty naturalnie wszystko powiesz.

— Nie jestem skarżypyta! — zawołałam, kładąc w te słowa całą swą pogardę i oburzenie, poczem wyszłam i udałam się na salę.

Możecie sobie wyobrazić, jakie powstało

zamieszanie, gdy panna Dale odkryła szkodę.

Nie zdziwiło nas, bo to było zupełnie w jej guście, że odrazu zaniosła okrycie do pani Latour, nauczycielki tańca, zażądała, by uczyniono śledztwo, zapłacono jej za szkodę i wypędzono winowajczynię na poczekaniu.

Dziewczęta lubią ładne stroje i wszystkie lubiłyśmy płaszczyk panny Dale. Ja jedynie nie okazałam żadnego współczucia. Czułam się skrępowana posiadaną tajemnicą. Nie potrafiłabym za żadne skarby świata udać zdziwienia i wyrazić żalu, który szczerze czułam.

Oczywiście podejrzenie padło na obie uczennice, które przyszły ostatnie — na Rutę i na mnie.

Pani Latour nie obwijała rzeczy w bawełnę. Zapytała nas wprost, czy to było nasze dzieło. I każda z nas odpowiedziała „nie“. Ale Ruta pełna była przejęcia i współczucia, choć bez przesady. Cudownie grała komedję. Nikt nie mógł jej o nic podejrzewać.

Co innego ja. Ja tego nie umiem. Moja głupia otwarta twarz zawsze mnie musi zdradzić. Czułam się okropnie zmieszaną i bezwątpienia wyglądałam zakłopotana, bo wiele podejrzliwych spojrzeń zwracało się teraz na mnie. Tego mi było za wiele. Pod wpływem zmieszania i rozpaczy uczyniłam krok nierozważny: zaczęłam się gorączkowo zabierać do wyjścia.

Za późno się spostrzegłam, że takie postępowanie musiało wszystkich przekonać o mojej winie, a pani Latour, zatrzymała mnie w zapędach.

— Proszę zdjąć kapelusz, Miss Warren, nikt nie odejdzie, zanim się rzecz nie wyjaśni.

Usłuchałam z miną zawstydzoną, czując wszystkie oczy na sobie. Pani Latour nie spuszczała ze mnie wzroku.

Oczywiście zaczerwieniłam się. Zawsze się rumienię w nieodpowiedniej chwili. Jeśli kiedykolwiek osoba niewinna wyglądała jak winowajczyni, to właśnie byłam ja w onej nieszczęsnej chwili.

Niedziw, że w oczach pani Latour podejrzenie zamieniło się w pewność. Podeszła szybko do mnie i chwytając mnie za rękę, pociągnęła ku środkowi.

— Ty wiesz coś o tem — rzekła surowo, nie puszczając mojej ręki. Tak, to była prawda, a moje policzki pałały pod jej badawczym wzrokiem; zmieszana, spuściłam oczy. To dopełniło miary.

Pani Latour wydała trjumfalny ale i oburzony okrzyk i zwróciła się do panienek, czekających wyroku z zapartym oddechem.

Puściła moją rękę, a choć wdzięczną jej byłam za to, czułam, że to robi, jakby odrzucała precz od siebie jakiegoś wstrętnego gada.

— Panienki — rzekła pani Latour, wskazując na mnie: — oto winowajczyni.

Stałam, jak pod pręgierzem i stała się ze mną rzecz dziwna. Zresztą nie bardzo dziwna, bo tak ze mną zawsze bywa. Choćbym bardzo się bała naprzód jakiegoś zdarzenia, gdy ono już się zdarzy, gdy jestem „w matni“, jak to teraz miało miejsce, obawa mnie opuszcza. Im gorsza sytuacja, tem spokojniejszą się czuję. I — co najdziwniejsze — odczuwam w tem wszystkiem jakąś gorzką przyjemność.

Trudno to wytłumaczyć, ale jeden chłopiec opowiadał mi, że on ma taką samą naturę. W każdym razie stałam teraz na środku pokoju, a wszystkie pensjonarki „gapiły się“ na mnie, jak tylko one to potrafią, gdy drzwi się otworzyły i weszła moja nauczycielka.

— Miss Greene — rzekła p. Latour — przychodzi pani w samą porę. — I nie zwlekając, opowiedziała wszystko, co się zdarzyło.

I uczyniła to w taki sposób, że, słuchając, nie można było wątpić, że nikt inny, tylko ja, wylałam atrament na płaszczyk panny Dale.

Moja biedna nauczycielka tak wyglądała, jakby się miała zamienić w słup soli. Jednakże wzięła mnie w obronę.

— Znam moją pupilkę i wiem, że jest bardzo prawdomówna — rzekła, a jabym była ją za to chętnie uściskała; — a ponieważ zaprzeczyła, jakoby była to zrobiła, jest to dla mnie dostatecznym dowodem jej niewinności. Pozatem nie mogę

sobie wyobrazić, aby się była skompromitowała w tak prostacki sposób.

Byłabym ją uściskała po raz drugi.

Chętka ta jednak została zmrożona przez surowe spojrzenie mej nauczycielki.

— Małgorzato — rzekła, bo zawsze byłam „Małgorzatą“ kiedy byłam w niełasce, inaczej nazywałam się „Peggy“. — Ty coś ukrywasz. Powiedz, co wiesz o tem wszystkiem.

— Czy słyszałaś? — powtórzyła, ponieważ milczałam.

— Nie mam nic do powiedzenia — rzekłam chmurnie.

— Czy pani zechce odłożyć całą sprawę do przyszłego czwartku? — spytała Miss Greene pani Latour.

Ta ostatnia przybrała niezadowolony wyraz twarzy. Byłoby jej niemiło nie odkryć winowajczyni.

— Co do mnie — rzekła kwaśno — uważam, że Miss Warren dała dostateczne dowody swej winy. Jednakże — jeśli pani sądzi, że pod presją pani —

Wtrąciłam żywo:

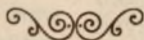
— Choćbyście rok czekały, to i tak nic nie pomoże.

— Proszę milczeć — rzekła moja nauczycielka, a pani Latour tylko się uśmiechnęła drwiąco; och, nienawidziłam ją za to!

— Pozostawiam pannie Warren tydzień czasu, by nas mogła przekonać o swej niewinności — oświadczyła pani Latour, zwracając się do obecnych. — Jeżeli nie zdoła tego dokonać, będę ją uważać za winną.

Nastąpiło krótkie milczenie.

(Dok. nast.). Z angielskiego przełożyła *J. M.*



W TRZYDZIESTĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI.

(Dokończenie).

Asnyk zamierzał osiąść na stałe we Lwowie, by być bliżej rodziców i jednocześnie służyć swą pracą i wielką wiedzą własnemu społeczeństwu.

Nie było to jednak rzeczą łatwą w owe czasy. Austrja, która i w późniejszych latach pozorną tylko swobodą darzyła Polaków, w latach popowstaniowych szła powolnie na pasku rosyjskim. Długie lata upłynęły, zanim poeta, pomimo usilnych starań wpływowych ludzi, otrzymał obywatelstwo austrjackie. Wszelkie więc instytucje społeczne zamknięte były przed „obcokrajowcami“, jak wówczas urzędowo zwano Polaków z innych zaborów.

Żaden uniwersytet w Małopolsce nie mógł mu ofiarować katedry literatury powszechnej, lub ojczystej. Miewał za to nieraz nagabywania policjantów.

Adam Asnyk mógł o sobie powiedzieć zupełnie słusznie: „Szczęścia w kraju nie znalazł, bo go nie było w Ojczyźnie“.

Posiadał wielki talent poetycki, wiedzę i wykształcenie niepospolite, umysł bystry i serce przedziwnie dobre. Zużytkować tego wszystkiego dla dobra ojczyzny, jak pragnął, lub dla osobistego szczęścia, nigdy nie mógł. Każda chwila radosna, zamieniała się w jego życiu w ciężką boleść.

Gdy wkońcu uzyskał obywatelstwo austrjackie, rodzice jego sprzedali całą swą majętność i osiedli wraz z nim w Krakowie, gdzie nabyli na własność mały domek przy ulicy Łobzowskiej. Po długiej tułaczce i osamotnieniu znalazł się poeta w serdecznem rodzinnem gronie. Był znowu z ojcem i matką, pierwszą powiernicą jego poetyckich marzeń. Ale rok nie upłynął, a cichy domek pokrył się ciężką żałobą. Umarła pani Asnykowa, mąż po jej zgonie nie miał sił zostawać w Krakowie i wrócił do Królestwa, a poeta osamotniony i zbolały, wyjechał na dłuższy pobyt do Włoch.

W pięknie natury i pracy znajdował

ukojenie, pisał bowiem w tym czasie wiele, między innemi nadesłał do Lwowa swój dramat „Cola Rienzi“, który z powodzeniem wystawiony był w teatrze lwowskim i krakowskim.

Po dwuletnim pobycie we Włoszech, spędził lato w Zakopanem i tu jasny promień szczęścia oświetlił mu życie.

Pokochał i wzajemnie był kochany. Ożywił się smutny domek przybyciem młodej pani. Panna Zofja Kaczorowska, córka znanego lekarza w Poznaniu, została towarzyszką życia Adama Asnyka. Niedługo trwało szczęście. Pani Zofja umarła w rok po ślubie. Małego synka sierotę zabrali na wychowanie dziadkowie do Poznania.

Zrozpaczony mąż, wyjechał do Zakopanego. W górach pełnych wspomnień, przeżytych chwil szczęścia najmilej mu było teraz przebywać. Zasłynął też jako jeden z najwytrwalszych i najdzielniejszych taterników.

Pisał wiele, drobne poezje liryczne z tej epoki przepełnione są smutkiem i bólem. W cyklu poezyj p. t. „W Tatrach“ stanął Asnyk na szczycie artyzmu. Najpiękniejsze z nich są: „Noc pod Wysoką“, „Morskie Oko“, „Kościeliska“ i „Giewont“.

Przeszło lat kilka, a Asnyk wierny hasłom, rzuconym w jednym z prześlicznych drobnych swych wierszy p. t. „Miejmy nadzieję“, którego dwie ostatnie strofy podajemy:

„Przestańmy własną pieścić się boleścią,
Przestańmy ciągłym lamentem się poić
Kochać się w skargach jest rzeczą nie-
[wieścią,
Mężom przystoi w milczeniu się zbroić.

Lecz nie przestańmy czcić świętości swoje
I przechowywać ideałom czystość —
Do nas należy dać im moc i zbroję
By z kraju marzeń przeszły w rzeczy-
[wistość“

otrząsnął się z własnych bolów, raczej jak powiedział w innym znowu swoim wierszu:

„Nie pomogą próżne żale,
Ból swój niebu trza polecić,
A samemu wciąż wytrwale,
Trzeba naprzód iść i świecić“.

zaświecił rodakom przykładem wielkiej i ofiarnej pracy społecznej. Początkowo, jako Redaktor naczelny „Nowej Reformy“, pisma które w r. 1882 powstało, biorąc sobie za zadanie, stać ponad partjami i utrzymać myśl narodową w nieskalanej czystości.

Następnie wszedł jako członek do Rady miejskiej krakowskiej, wkońcu wybrany w r. 1889 posłem do Sejmu krajowego, pełnił te wszystkie obowiązki gorliwie i sumiennie, dbając zawsze o godność narodową i sprawiedliwość w każdym czynie. — Niezmiernie ciężki był wówczas los nauczycieli ludowych i Asnyk gorliwie zajęty sprawami szkolnictwa, nie mógł o tem przepomnieć. Wniosek jego w Sejmie o polepszenie doli nauczycielskiej wywarł ogromne wrażenie i posunął tę smutną sprawę o znaczny krok naprzód. — Zdrowie nie dopisywało mu. Różne intrygi zakulisowe i partyjne szarpały jego nerwy. Pracował jednak usilnie, a jednocześnie wykończył wspaniały cykl sonetów pod tytułem: „Nad Głębiami“.

Głębokie myśli filozoficzne, ujęte w przedziwnie piękną formę, mówią nam o nieśmiertelnej istności wszelkich duchowych mocy życia, które nieraz stłumione chwilowo, wybuchną, jak tylko oświeci je brzask nowej wiosny.

Dwa ostatnie sonety z powyższego cyklu XXIX XXX wyraźnie mówią o zmartwychwstaniu Polski, którą poeta okiem wieszczem widzi wkraczającą do życia bram, inną niż przed wiekami, choć zawsze tę samą.

Pisząc poezje, pracując jako dziennikarz i poseł, Adam Asnyk nie zapominał o młodzieży akademickiej, której był gorącym przyjacielem.

„Trzeba z żywemi naprzód iść
Po życie sięgać nowe“!

pisał i szedł do młodych z radą i pomocą, bywał na zebraniach akademickich, godził i łączył ze sobą wszelkie partje, łagodził rozdźwięki. Cieszył się tem, iż

młodzież do życia publicznego garnie się i sam ją do tej pracy zachęcał i wciągał. W stuletnią rocznicę wiekopomnej Konstytucji 3-go Maja, w r. 1891 pod kierunkiem Adama Asnyka i jego czynnym współudziałem, powstaje w Krakowie Towarzystwo Szkoły Ludowej. Do zarządu wchodzą: dr. Ernest Adam, pr. Ernest Bandrowski, M. Offmański i inni, prezesem zostaje Adam Asnyk. Wiemy wszyscy, co robiło pod zaborem austrjackim T. Sz. L., jak złotemi głoskami zapisało się w dziejach oświaty polskiej w Małopolsce, wiemy, co i dziś robi i za powołanie go do życia, za zorganizowanie i długą wytrwałą, bo aż do chwili zgonu pracę w niem, cześć winniśmy mieć dla Asnyka.

W zaraniu życia walczył w obronie ziemi ojczystej, u schyłku wychowywał dla niej całe zastępy przyszłych bojowników. W czerwcu 1897, ciężka choroba obezwładniła go, siły nikły z dniem każdym, pomimo troskliwych starań lekarzy. Chory nie zdawał sobie jednak sprawy ze swego stanu i w lipcu wymógł na synu swym Włodzimierzu, studencie 1-go kursu filozofji na uniwersytecie Jagiellońskim, by wyjechał do Warszawy i Wilna, które zawsze sam chciał poznać. Cieszył się, że bodaj oczyma syna ujrzy oba miasta. Nie spełniły się te marzenia, stan chorego pogorszył się i wezwano syna z powrotem do Krakowa, we trzy dni po jego stamtąd wyjeździe.

Pomimo cierpień fizycznych, do ostatniej niemal chwili zajmował się sprawami społecznemi, głównie zaś Towarzystwem Szkoły Ludowej. Ostatni raz w życiu ujął pióro, by położyć swój podpis, na akcie fundacyjnym szkoły ludowej w Białej, tej szkoły, nad założeniem której usilnie pracował, uważając, że będzie ona ostoją polskości przed zalewem germańskim.

W poniedziałek dnia 2 sierpnia, w dzień święta Matki Boskiej Anielskiej, rozstał się z tą ziemią, której wiernym był synem.

Pogrzeb, naturalnie, był wspaniały, wygłoszono wiele mów, napisano o Zmarłym szereg artykułów. Nikt jednak nie zgłębił tak i nie odczuł ducha poezji asnykowskiej, nikt o nim nie wydał tak szczytnego sądu, jak Marja Konopnicka.

Pozwalam sobie przytoczyć tu słowa wielkiej poetki:

„Anioł, który Asnyka opętał, był miłościwym aniołem. Nie szarpał mu żywego mięsa, nie grzmiał i niebłyskał w nim burzą, nie miotał się wichrem w jego śpiewaczej pieśni, nie ciskał nim jako rozbitkiem o skały życia, nie rozwodził nad głową jego beznadziejnych mroków, a zanim mu sen grobów ukazał, trzykroć namaścił skroń jego i wargi chryzmatem wiary w wielkie odrodzenie ducha. Były i w Asnykowskiej piersi zgrzyt, jęki i skarga; był krzyk oburzenia i wzgardy, ale nie przeszedł nigdy w zimne szyderstwo, w urąganie ideałom życia. Te zawsze na ołtarzu poety stały jasne i uczczone, czy hymn im śpiewał, czy bojował o nie... Wielki siewca pierwiastków idealnych życia był wraz wielkim mistrzem twardego zakonu służby społecznej. Poezja, ideał nie były u niego purpurą tylko i laurowym wieńcem. One mu były tchem piersi, prawem życia, duchem jego ducha! Jakże bylibyśmy mali wobec niego, gdybyśmy nie umieli sobie powiedzieć, że nam został — wzorem".

Do słów tych nic już więcej dodać nie można, chyba to jedno życzenie, by młodzież dzisiejsza, ci, którzy obecnie wstępują w życie, zapoznając się nietylko z poezją Adama Asnyka, ale i z jego pracą społeczną, wybierali go sobie na kierownika duchowego.

Marja Reuttówna.



NOWY ŚWIATEK.

(Dokończenie).

Radosny nastrój dzieciaków udzielił się wkrótce Bożence. Podczas chwilowej przerwy w zabawie, podeszła do brata i rzekła:

— Wracamy do domu, Zbyszku!

Zarumieniony igraniem chłopczyk, potrząsnął jasnemi kędziorkami, i odparł rezolutnie:

— Nie chcę wracać do domu, nie! Tam niema mojej mamusi...

— A cóż będzie z obiadem? — przekładała mu siostra.

— Co mi tam obiad! — zawołał, ruszając lekceważąco ramieniem. — Ja wolę bawić się tutaj!

I odbiegł od Bożenki, która stanęła bezradnie.

— Niechże panienka nie broni braciszkowi zabawy z dziećmi! — usłyszała w pobliżu wesoły głos. — I obiadek może on zjeść z niemi.

Stanęła przed Bożenką drobna, ruchliwa staruszka w czarnej koronce na srebrnych włosach, i twarzy pełnej dobroci. Była ona tak uderzająco podobna do p ni Lucyny, mimo wręcz odmiennego na niej wyrazu, że dziewczę dygnąwszy, rzekło bez namysłu:

— Widzę, że mam zaszczyt rozmawiać z szanowną matką pani Lerskiej.

Staruszka klasnęła, śmiejąc się w ręce:

— A to zgadłaś, kochasiu, no! Rzeczywiście: jestem Pochmarska. Ale i ja wiem już dużo o tobie... wiem! I to, że biedna twoja matuś leży chora w lecznicy, i to, że trzymałaś wczoraj siostrzyczkę swą do chrztu, nawet i to, że ranek dzisiejszy był dla ciebie bardzo ciężki.

Bożenka przylgnęła odrazu do miłej, rozmownej staruszki, która dodała wesoło:

— Ciebie zaś, kochasiu, proszę na obiadek do nas!

Zaskoczone tem zaproszeniem dziewczę, rzekło:

— Dziękuję szanownej pani... bardzo dziękuję! Lecz muszę jeść obiad z moim biednym ojczulkiem.

— Słusznie, kochasiu! Ale widzisz: ojciec twój, jako urzędnik — przychodzi zapewne do domu późno, około trzeciej godziny, podczas gdy u nas, w rodzinie lekarskiej — jada się zazwyczaj o pierwszej. Więc pogodzisz doskonale jedno z drugiem. Przechadzaj się tedy, kochasiu, po tym ogrodzie, dopóki moja córka nie przyjdzie po ciebie.

Bożenka, całując serdecznie dłoń miłej staruszki, odpowiedziała:

— Z przyjemnością spełnię życzenie szanownej pani. Lecz zamiast spacerować po ogrodzie, poproszę panią Lucynę, ażeby pozwoliła mi napisać w kancelarji szkolnej list do koleżanek.

*

Moje drogie!

Wyobraźcie sobie, co za niespodziankę zgotowało mi życie! Czyż rozkoszując się wczoraj naszą śliczną wycieczką, mogłabym była choć na mgnienie chwili przypuścić, że dziś, o tej porze — będę skrobała do was list w kancelarji szkoły dla pielęgnowania niemowląt?... Bo w takim właśnie zakładzie przebywa moja malutka siostrzyczka.

A biedna nasza mamusia leży chora, taka chora w lecznicy doktora S., że dotychczas nie dopuszczono mnie jeszcze do niej...

To też oznajmiam wam, drogie koleżanki, że oczy wasze nie zobaczą mnie już tego roku w murach kolonji. Obowiązek wzywa mnie, ażebym zastąpiła w osamotnionym naszym domu wedle sił i możności — mamusię. Nie miałabym zresztą chwili spokoju, żyjąc teraz z daleka od moich najbliższych....

A tyle, tyle pracy widzę przed sobą!

Muszę przedewszystkiem nauczyć się pielęgnowania niemowląt (o czem, jak wiecie, nie mam najmniejszego pojęcia), ażebym mogła wyręczać przynajmniej na razie, moją chorą mamusię. Zwróciłam się już z odnośną prośbą do zacnej kierowniczki niniejszego zakładu, i od jutra naukę zaczynam.

Nie sądźcie jednakże i nie żałujcie mnie, moje złote, przypuszczając, że mam z tego powodu zepsute wakacje... Tak nie jest. Bo doprawdy: nie mogłabym rozstrzygnąć, gdzieby mi właściwie czas upływał przyjemniej: czy w waszem gronie, wśród cudownej przyrody, czy też w tym oto, zupełnie nowym dla mnie światku.

Te salki, pełne białych łóżeczek, w których leżą pisklęta ludzkie, działają na moją duszę wprost niewypowiedzianie, zmuszając do głębszego wniknięcia w przeznaczenie człowieka.

Biją tu, że się tak wyrażę — dopiero co wytrysłe źródełka życia ludzkiego; źródełka, które dłoń miłująca bliźniego, otoczyła od pierwszej chwili macierzyńską opieką i otacza je nadal w przynależnem tu wzorowo urządzonem przedszkolu.

Wierzcie mi, koleżanki, że serce się rwie, ażeby wziąć udział w tej miłej, zbożnej pracy!

Wśród drobiazgu tego znajdują się śliczne główki; istne cherubinki, że tylko wziąć pędzel i farby i malować je... ach, malować.

Florę przepraszam najmocniej za wyrządzony jej mimowoli zawód.

Bawcie się wesoło, koleżanki drogie, a piszcie do mnie często, o wszystkiem, ażebym mogła choć duchem z wami przebywać.

Ściskam i całuję serdecznie każdą z was

Bożenka.

— — — — — — — — —

Nader przyjemnie spędziła Bożenka porę obiadową w kółku rodzinnem pani Pochmarskiej.

Malarskie jej oko obejmowało z prawdziwą rozkoszą antyczne, starannie utrzymywane urządzenie skromnego mieszkanka.

W jadalni, przy nakrytym już stole, zastała młodzieńca, zajętego przeglądaniem gazet. Na widok wchodzącej zerwał się chyżo z krzesła. Był jasnym blondynem o lśniących, jak jedwab, włosach, białej cerze i bardzo regularnych rysach twarzy. Czoło miał wysokie, myślące.

Mój syn, doktor medycyny — przedstawiła go Bożence z dumą pani domu.

— Który dziś właśnie powrócił ze studjów zagranicznych — dodała pani Lucyna.

Dziewczę zarumieniło się bezwiednie pod poważnem spojrzeniem siwych oczu młodego lekarza.

Pierwsze lody stopniały rychło. Bożenka czuła się wśród tej rodziny tak dobrze i swojsko, jak gdyby ją znała oddawna, podziwiając zarazem niezwykle serdeczny szacunek, jakim pani Lucyna i jej brat otaczali sędziwą matkę.

Obiad był wyśmienity, urozmaicony opowiadaniem pana Kazimierza, który barwnie i zajmująco przedstawiał paniom pobyt swój w Berlinie i Paryżu.

Staruszka wpatrzona była w syna, jak w tęczę, nawet małomówna pani Lucyna zadawała bratu różne pytania. Z jeszcze większą przyjemnością słuchało się tych wspomnień, zajadając wyborną leguminkę piankową, której porcje pani Pochmarska nakładała raz po raz młodzieńcowi i Bożence.

— Jest to przysmaczek Kazika! — wyjaśniła wesoło.

— I mojego ojczulka — uzupełniła dziewczynka. Cóż, kiedy ja nie zwykłam zaglądać do kuchni... Ach, jakby mi się to teraz przydało!

I spiekła nowego raczka. Pani Pochmarska, biorąc jej rękę, rzekła uczynnie:

— Wiesz co, kochasiu? Przychodź do mnie na naukę gotowania! Dziś, z powodu przyjazdu Kazika, obiad był trochę lepszy... ale zazwyczaj jadamy skromniutko.

Zakłopotana Bożenka, spojrzała pytająco na panią Lucynę, która rzekła z domyślnym uśmiechem:

— Jakoś to będzie! Postaramy się z mamusią tak rozłożyć twoje zajęcia, panienko, ażebyś mogła uczyć się równocześnie pie-

lęgnowania dzieci i gospodarstwa domowego.

Dziewczę, nie zważając na obecność młodego lekarza, przypadło w porywie wdzięczności do rąk matki i córki.

Przykry kontrast do doskonałego obiadu pani Pochmarskiej stanowił dla Bożenki posiłek, przyrządzony rękoma niedbałej Kasi. Pan Greliński, skosztowawszy zaledwie twardej pieczeni i przypalonej leguminy, przeszedł chmurny do swojego pokoju.

Wieczorem zaglądnął do nich pan Roman.

— Bóg sprowadza cię, Romku kochany! — ucieszył się ojciec Bożenki, ściskając gościa. — Ciężki przeżyłem dziś dzień... więc radbym rozerwać się miłą gawędką i partją szachów.

Przy herbacie pan domu, rzuciwszy okiem na stół, zauważył z przykrością:

— Nie uraczysz się dziś, Romku, twemi ulubionemi paluszkami... Ale cóż: niema pani domu, niemasz i — paluszków!

Nowe ukłucie w sercu Bożenki: ta nieznośna kwestja kulinarna prześladuje ją na każdym niemal kroku! A ojciec dodał, wzdychając:

— Ogromnie odczuwam nieobecność mej żony.

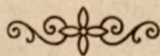
Na to młody malarz, odgarniając z czoła bujne, krucze włosy, rzekł jąkimś cierpkim, zagadkowym tonem:

— Nie mógłbym tego powiedzieć o sobie!

I zamyślił się smutnie.

Słowa te zastanowiły Bożenkę. Słyszała już nieraz z ust rodziców, że pani Romanowa, która za czasów panieńskich i teraz jeszcze, kształci się w śpiewie — zaniedbuje męża i córeczkę, spędzając nazbyt często wieczory w teatrze, lub na różnych koncertach.

Wisława.



O DZIWNEJ KSIĄŻCE DLA DZIECI SŁÓW PARĘ.

Gwiazdka nadchodzi, i milusińscy nasi oczekują jej z utęsknieniem i ciekawością.— Co też ona im przyniesie, jaki dar i niespodziankę? — Każde niemal dziecko pragnie książki, któraby je zaprowadziła w świat nowy, nieznany, odkryła przed nim te cuda, o których mu się jeszcze nie śniło.

Dajemy dzieciom naszym historje bajeczne, fantastyczne wizje rzeczy nieistniejących, ciekawe podróże o egzotycznych krainach.

Zapominamy niestety bardzo często o rzeczach swojskich, uważając, że to na co się codziennie patrzy, już dostatecznie znanem jest. Błąd to wielki, bo starsi nawet ludzie często nie widzą otaczających ich rzeczy, a cóż dopiero mówić o dzieciach.

I oto na półkach księgarskich pojawiła się książka ciekawa i świeża. — Książka mówiąca dzieciom polskim o tej wsi, w której żyją, o cudach przyrody, na które codziennie patrzą i ucząca jej miłowania tej szarej drogiej ziemi, po której biegają.

Książkę tę stworzyła miłość kraju rodzinnego i jej dzieci. Napisała ją bowiem A n n a L e w i c k a, która przez długie lata niewoli budziła w sercach czytelników „Małego Światka“ gorącą miłość dla Polski, uczyła ją obowiązków dla kraju i zaprawiała do czynnej służby. Daje dzieciom wolnej Polski, pogodną, piękną książkę p. t. „W J a s n e j W s i“. Zapoznaje swych czytelników z ich najbliższem otoczeniem. — Każdy rozdział tej dziwnej książki, bo przy swej nadzwyczajnej prostocie, jest ona tym dziwem, na który się lata patrzyło, nie widząc go wcale, mógłby stanowić sam w sobie

pewną całość; odkrywa młodym czytelnikom znany, a niedojrzany przez nich przejaw otaczającego je życia.

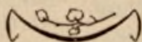
Dowiadują się, jak powstała wieś polska, ile trudów i pracy kosztowało ojcom budowanie jej, ile klęsk ponieśli i łez tu popłynęło i ile było mocy w duszach ich by się przy tej ziemi utrzymać i oddać to ubogie domostwo synom i wnukom. — Poznają swą jasną, kochaną szkołę, w której rozjaśniają się ich umysły i zbogacają serca. - Na polu, na pastwisku oczy ich uderzy widok czarnego, małego punkciku, który zwolna przekształca się w gąsienicę, potem w poczwarkę, a wkoncu zamienia w cudnego motyla.

Dowiedzą się, dlaczego spłonęła chałupa Błażeja i czemu świeci mały robaczek świętojański. Poznają życie mrówek i wysłuchają opowiadań kropelki rosy.

I tak, powoli otworzą się im oczy na najbliższe otoczenie, poznają je i ukochają.

Piękna, jasna książka jest jednym hymnem miłości wsi naszej, przyrody i ziemi ojczystej, niechże więc znajdzie się w rękach wszystkich dzieci polskich i tych biedaków, które rok okrągły siedzą w dusznem mieście i tej dziatwy, która życie swe pędzi na wsi, nie umiejąc ocenić ani jej piękna i nie widząc otaczających ją cudów przyrody.

Marja Reuttówna.



Z POLSKI I ZE ŚWIATA.

Wybory do Sejmu odbędą się, zdaje się, 26 lutego, a 4 marca do Senatu. — Nie jest to jednak jeszcze pewnem. Rząd zaskoczony jest zamiarem połączenia się Niemców, Białorusinów, Ukraińców i Żydów w jedną listę, coby im dało 120-tu posłów. — Rząd poczynił poprzednio wiele ustępstw na rzecz mniejszości narodowych, by ich poparcie przy wyborach uzyskać, a co będzie wobec takich planów tychże mniejszości?

Wedle paragrafu 25-go Konstytucji o przedłożeniu Sejmowi budżetu na rok następny na 5 miesięcy przed rozpoczęciem nowego roku budżetowego (u nas zaczyna się on dnia 1-go kwietnia) Rząd przedstawił Sejmowi preliminarz budżetowy na rok 1928 - 29. Suma wydatków obliczona na 2 miljardy 228 miljonów, 950 tysięcy 587 zł. — Wydątki te przewyższają o 237 miljonów budżet roku obecnego, na co składa się konieczne przyznanie pewnych sum ministerstwu wojny, robót publicznych i innym,. Rząd jednak oblicza, że dochody roku 1928-29 powinny przewyższyć wydatki tegoż roku o 120 miljonów.

W Gdańsku długa i planowa germanizacja wydaje owoce, bo na 110 mandatów Polacy zdobyli tylko 4.

Marszałek Franchet d'Esperey dokonał udekorowania marsz. Piłsudskiego francuskim medalem wojskowym, co jest najwyższem odznaczeniem wojskowem we Francji.

Wskutek podpisania 16 listopada generalnego układu o wykonaniu postanowień traktatu ryskiego co do zwrotu zabytków polskich, należy się już w ciągu miesiąca spodziewać pierwszego transportu muzealji, rękopisów, archiwów polskich, zrabowanych przez Rosję w czasie zaboru.

Stronnictwa ludowe w Polsce pragną, zdaje się, połączyć się w jedno — o ile to jednak mogłoby dojść do skutku — niewiadomo, bo zbyt sprzeczne nieraz i zbyt ciasno partyjne są dążenia poszczególnych siedmiu stronnictw. Co do rozbicia w łonie „Piasta“ — zapowiedzi nie ziściły się — przeciwnie — stronnictwo to okazało znaczną siłę wewnętrzną.

Rokowania handlowe z Niemcami są nadal w toku — zdaje się, że tym razem Niemcy chcą poważnie dojścia do

skutku traktatu, do czego skłania ich zarówno przegrana wojna celna, która wyszła na dobre Polsce, a na szkodę Niemcom, jak i pożyczka 60 miljonów dolarów, co wpływając do Polski, daje jejmożność podźwignięcia się i wzmocnienia gospodarczego.

W Święto Chrystusa Króla olbrzymia bazylika św. Piotra w Rzymie wypełniona była po brzegi blisko 70-cio tysięcznym tłumem wiernych, w dzień ten bowiem Ojciec św. udzielił sakry biskupiej japońskiemu księdzu, Mgr. Hayasaka. Pius XI. przypomniał w mowie swej święcenia 6-ciu biskupów chińskich, dokonane przed rokiem i wyraził życzenie, by praca apostolska Mgr. Hayasaka była dla wielu, wielu mieszkańców „Krainy Wschodzącego Słońca" świtem zbawienia wiecznego.

W Donai, w północnej Francji odbył się zjazd Polaków-katolików, zamieszkałych we Francji. Z górą 5000 Polaków brało w nim udział; ks. Biskup Radoński z Poznania, zwiedzający wychodźtwo polskie we Francji, odprawił sumę pontyfikalną, na której obecny był Ks. Arcybiskup z Cambrai.

Energiczna młodzież akademicka uniwersytetu wileńskiego zajęła się zorganizowaniem Uniwersytetu Robotniczego, w czem pomagają jej organizacje oświatowe, samorządowe i przedstawiciele starszego społeczeństwa w Wilnie. Uniwersytet ten katolicki będzie otwarty prawdopodobnie w połowie grudnia, utworzony wedle najnowszych wymogów, obliczony jest na początek na 100 uczestników.

W Częstochowie odbył się zjazd Kół gospodyń wiejskich, w którym wzięło udział przeszło 1500 gospodyń z całej Polski.

W New-Jorku odbył się trzeci doroczny zjazd katolików-murzynów; — jest on wyrazem organizowania się życia religijnego wśród murzynów, którzy od niedawna dopiero zaczęli brać udział w innych obradach katolickich w Ameryce, a teraz tworzą już pewien zespół

Trzeci syn zmarłego niedawno sułtana Mulley'a Jussufa, 15-letni Mulley Hamada, został obwołany sułtanem Maroka.

W Wiedniu urządzoną została „Wystawa socjalno-higjeniczna" przeciwko paleniu.

Dzielna dziewczyna. „L'Illustration" donosi o niezwykłej przytomności umysłu i dzielności 14-letniej Reginy Chossenotte. Ojciec jej był kolejowym na małej stacyjce między Reims a Châlons-sur-Marne. Na stacji tej pociągi nie zatrzymują się ogólnie, trzeba je tu jednak skierowywać zapomocą sygnałów i zwrotnic na odpowiednie tory, inaczej bowiem katastrofy są nieuniknione.

Pewnego wieczora ojciec Reginy nie zdążył się usunąć dość wcześnie z toru i został zmiażdżony przez pociąg, który pojechał dalej, nic nie wiedząc o dokonanym wypadku. Stacyjka została bez swego jedynego pracownika... a jednak pociągi kursowały normalnie całą noc, bez żadnego wypadku... Regina bowiem, której ojciec nieraz pokazywał, co i jak się robi, zapominając o swym bólu nad stratą ojca, zastępowała go przez całą noc, ocalając setki ludzi, co nawet nie wiedzieli o grożącem im niebezpieczeństwie katastrofy kolejowej...

Marja Curie-Skłodowska skończyła w tym roku w listopadzie 60 lat swego pracowitego, a tak owocnego dla nauki życia. Profesorka Uniwersytetu Paryskiego, wykłada ona aż dotąd na objętej po śmierci męża katedrze, nagrodzona w roku 1911 nagrodą Nobla za odkrycie radium i polonium, podziwiana i szanowana ogólnie nietylko za wiekopomne swe odkrycia, ale i za wielkość żywota swego pracowitego i życzliwości ku ludziom prostej, a serdecznej.



OD REDAKCJI.

Rok stary dobiega do końca — Czy zadowolone z niego jesteście? — Czy spełniłyście postanowienia? — Może nie wszystko poszło po myśli, nietylko to, co od was nie zależało, lecz, co najważniejsze, może nie dopisały i starania wasze — a teraz trochę żal...

Ale jest na to rada. Wszak powiadają, że „koniec wieńczy dzieło“ — niechże więc dobry koniec starego roku zatrze skazy i zapełni braki, jakie w jego toku się pojawiły. Okazja dobra się zdarza, bo okres Bożego Narodzenia to czas szczególnej miłości ku biednym, maluczkim, cierpiącym — miłości, co okupuje winy.

Gdybyśmy w urządzaniu „Gwiazdki“ i ten czynnik mieli przed oczami — to może hojniejsze spływałyby dary. — Nietylko tem dzielić się należy, co nam zbywa, lecz i kosztem własnej wygody — a nawet potrzeby, okupywać dawne marnotrawstwo, wygodnictwo, lenistwo i te wszystkie „niedociągnięcia“, które nam rachunek sumienia pod koniec roku wykaże.

Nie dla przyjemności sprawienia radości winniśmy dawać — lecz z poczucia obowiązku wynagrodzenia społeczeństwu krzywd, jakie lekkomyślnością naszą wyrządzamy.

Bo przecież to krzywda dla społeczeństwa, dla narodu, gdy mało wartościowa jednostka w skład jego wchodzi.

Jeśli więc starania nasze o zdobycie wewnętrznej wartości czasem osłabły — nie dopisały — starajmy się teraz to naprawić, wynagrodzić w osobach tych biednych, którzy byliby może lepiej użyli darów, w które my obfitujemy.

Niech takie myśli rozgrzeją serduszka Wasze — a Dziecię Jezus napełni je radością, jakiej nawet się nie spodziewacie!

Całem sercem popieram projekt **Błędnego Ognika,** który w dzisiejszych Gawędach proponuje urządzenie „Gwiazdki“ dla najbiedniejszych. Nadsyłajcie dary, na jakie kogo stać, bo rzecz pozornie drobna, może mieć czasem wielką wartość. Kolorowy ołówek, notes w ładnej oprawie, obrazek, papier listowy lub kawałek wstążki to dla jednych drobiazgi — dla innych — skarby. A cóż mówić o ciepłej odzieży? O tem chyba żadna nie zapomni.

Nadsyłajcie, co kto może, **a nie później jak do 10. XII.** — żebym mogła w następnym numerze podać Wam, co nadeszło — i ewentualnie dzień „Gwiazdki“ oznaczyć.

Jutrzenka Swobody — to dzielna dziewczynka, bo projekt „Gwiazdki“ zaraz czynem popiera, nadsyłając paczkę prezencików, gustownie powiązanych wstążeczkami, dobranemi do koloru 2-u złotówki, misternie w fałdach chusteczki ukrytej. — Znać staranie i dobre serce, więc tem gorętsze: „Bóg zapłać!“ w imieniu biednych dzieci.

Czarne Oczko za staniol i 2 zł — **Loczek i wszystkie Ofiarodawczynie** staniolu i znaczków na rzecz misyj niech również przyjmą: „Bóg zapłać!“

„Hejże — ha!“ sprawiła mi radość swym listem. Zupełnie dobrze piszesz. Nie znać wcale, że tak długo byłaś zagranicą. Pisuj częściej do Gawęd i do redakcji.

Jaskółka — nie zapomniana, tylko milcząca. Pisz częściej. Cieszę się, że przedstawienie „Sobótki“ tyle dochodu na rzecz misyj przyniosło.

Marylo P. z P. Za nowo nadesłaną pracę — dzięki. Musiała ona jednak ustąpić dawniej czekającym, a sama czekać na nową rocznicę — może w styczniu, ale z góry obiecywać nie mogę.

Brzoza i listek brzozowy niech się nie niepokoją tylko niech sobie przypomną nasze prośby, by listy do Gawęd i do redakcji były pisane na oddzielnych kartkach.

Janko B. z K. czekam na „milowy“ list. Tymczasem i za ten dzięki.

GIMNAZJUM SS. NAZARETANEK W STRYJU.

Niedawno, zaledwie kilka lat temu założyły SS. Nazaretanki gimnazjum żeńskie. Początkowo był to zakład mały, mało było klas, mało uczennic. Z biegiem czasu zaczęło uczennic przybywać – pociągała je rodzinna atmosfera szkoły i wysoko postawiona nauka. Z każdym rokiem poziom nauki podnosił się — co roku wprowadzano ulepszenia, wśród uczennic powstawały różne stowarzyszenia i kółka: żywy różaniec, kółko literackie, sodalicja marjańska, kółko siostrzanej pomocy.

Każda z klas stworzyła sobie bibljoteczkę religijną klasową, a przechodząc do klasy wyższej, zostawia wszystkie książki klasie następnej.

Życie szkolne nadzwyczaj serdeczne, owiane jest miłą troskliwą atmosferą rodzinnego domu. W szkole czują się uczenice u siebie — wiedzą, że tam nie mają nieżyczliwych, jest im dobrze, tam mogą się zwrócić ze wszystkiemi swojemi prośbami, troskami bo zawsze zostaną zrozumiane — i często pomoc tam znajdą. Sodalicja Marjańska kształci uczenice Nazaretu duchowo, pod względem religijnym wyrabia i podnosi myśli ku Bogu. Kółko siostrzanej pomocy przychodzi często z pomocą materjalnie — kółko literackie ma na celu pomoc w nauce, zaznajamianie się z literaturą polską i obcą. — Brakło tylko pomocy duchowej, któraby zwróciła uwagę uczennic na smutną nieraz dolę koleżanek, którym pomoc materjalna ani naukowa nie wystarczy. Zawiązała się się więc wśród wychowanek Nazaretu pomoc duchowa. Co niedzielę przed egzortą wyjmuje X. katecheta z przeznaczonej na ten cel skarbonki w kaplicy, karteczki z prośbami o modlitwę na różne intencje. Karteczki te wrzucają uczennice w ciągu tygodnia. — Są tam różne prośby, o zdrowie drogiej komuś osoby, o przywrócenie wiary — często o dobry wynik konferencji, o dobrą notę z francuskiego, łaciny, matematyki i t. p. — Zgromadzone w kaplicy uczennice modlą się w czasie mszy św. na te intencje. — I to jest owa pomoc duchowa.

Już dużo wychowanek Nazaretu wyszło z gimnazjum w wielki tłum — jestem między niemi — ale przez tych kilka lat, tak zżyłam się z ukochaną szkołą naszą, że mimo, iż nie jestem już uczennicą Na zaretu, lecz studentką uniwersytetu, piszę o nim jeszcze i czuję się dumną, że pisać o nim mogę.



Gimnazjum SS. Nazaretanek w Stryju.

* * *

Wyszłyśmy z Nazaretu, wynosząc z niego wszczepione w dusze ideały szczytne. Idziemy prowadzone ostatniem życzeniem przełożonych naszych, byśmy: „wierne tym ideałom szły w wielki tłum, o lepszą walczyć przyszłość“. Idziemy śmiało, wierząc słowom ich i mając wciąż na myśli, że życie to walka, lecz:

Kto Bogu powierza swe losy,
Do piekielnych zejść może czeluści,
Wszak anioła mu ześlą niebiosy,
Co go z oka już nigdy nie spuści,

Przez krzemienie, przez ciernie, padalce —
Kroczyć będzie, by kryształ nietknięty —
I zwycięży, jak rycerz w tej walce,
W Imię Boga z odwagą poczętej.

Januta.



Sodalicja Marjańska SS. Nazaretanek w Stryju.



GAWĘDY PRZYJACIELSKIE.

(Rubryka ta zawiera swobodną wymianę myśli młodych czytelniczek (młodzieży uczącej się). Zwolenniczki jak i przeciwniczki zdań przedkładanych mogą tu głos zabierać. — Przy odpowiedziach należy podawać oprócz pseudonimu adresatki, także numer *listu, na który się odpowiada).*

408. Mimoza do Czarnego Oczka 399. Koncerty z Berlina są bardzo ładne. Czy słuchasz Lipsk? — Wczoraj rozkoszowałam się, słuchając stamtąd „Requiem" Mozarta. Lubię bardzo walce Strauss'a z Wiednia — są nadzwyczaj melodyjne. Którego ze Strauss'ów najbardziej lubisz: Ryszarda, Jana, Oskara czy Józefa? — Słyszałam poemat symfoniczny Ryszarda Strauss'a — jest prześliczny. Trzej następni Strauss'owie komponują rzeczy lekkie, ale szalenie melodyjne.

409. Rycerka z pod błękitnego znaku do Potoczka leśnego 384. Błękitną siostrzyczkę pozdrawiam serdecznie naszem przesłodkiem „Cześć Marji"

Od jak dawna należysz do Sodalicji? Ja od b. dawna i tak mi dobrze w służbie u naszej Matuchny niebieskiej, że „dla Niej żyć, Ją kochać, czcić — przez całe życie będę". Jak Ci się podoba nasze

sodalicyjne pisemko? Pisujesz doń? A na Zjeździe jakim byłaś? Ja w Krakowie i w Warszawie. Może się znamy?

410. Rycerka z pod błękitnego znaku do Rycerki Złotego Serduszka. Rycerce — braterski uścisk dłoni — Rycerka.

411. Rycerka z pod błękitnego znaku do Gawędziarek. Dawno już bardzo nie pisałam do Gawęd, z niemniejszą jednak ciekawością śledziłam zawsze Wasze myśli, oraz dyskusje, takie kochane, bo choć czasem smętne, czasem znów radosne, wesołe — zawsze jasne, zawsze tętniące młodością i poczuciem sił.

Dziś chwytam za pióro, bo przyszło mi na myśl, że może byłoby dobrze pogawędzić na temat kobiecego ideału w obecnej dobie? Kwestja to ogromnie żywotna i bodaj, czy jaka idea ma tylu zwolenników i tylu wrogów, co właśnie emancypacja.

Co Wy o tem wszystkiem sądzicie? Napiszcie, a może jasna postać kobiety-ideału, jaka wyłoni się z chaosu różnorodnych myśli i przekonań, stanie się niejednej wskazówką w urabianiu swego charakteru i dopomoże do właściwego zrozumienia swego posłannictwa jako kobiety i jako Polki.

412. Trójka do „Dobrze“ 404. Zdaje się, że „Dobrze“ nie zrozumiała nas dobrze. Naturalnie, że forma listów powinna być ładna, ale tem jest ładniejsza, im jest prostsza. Styl barokowy tak wygląda, jak pani „nowobogaczka“, która „nasadziła“ na siebie zadużo biżuterji: brylantów, pereł, diamentów, opali, turkusów i t. d. i wygląda, jak chodzący sklep jubilerski. — Wszystko dobrze, ale w miarę. — Nie zarzucamy Gawędziarkom, iż w ich listach są usterki stylistyczne, gdyż zdajemy sobie sprawę z tego, że piszą dziewczynki w różnym wieku. Zdaje się jednak, że na prosty, poprawny styl zdobędzie się nawet dziecko z pierwszej klasy gimn.

Czyż dąży się do piękna jedynie przez „kwiecistą“ formę listów? Przekonałyśmy się, że więcej Gawędziarek tak myśli, jak my i mamy nadzieję, że i Ty droga „Dobrze“ zmienisz Swe zapatrywania i przyznasz „Trójce“ rację.

413. Trójka do Czarnego Oczka 398 i do Błędnego Ognika 401. Dziękujemy za poparcie naszej uwagi.

414. Trójka do Gawędziarek. Którego z poetów lub powieściopisarzy najwięcej lubicie i dlaczego?

415. Błędny Ognik do Czarnego Oczka 396. Przyjaciółka — to skarb prawdziwy. Jednak bardzo jest trudno znaleść taką, którąby w zupełności odpowiadała. Napisz mi coś o sobie. Dobrze?

416. Błędny Ognik do Gawędziarek. Czy możecie podać mi kilka tytułów ciekawych historycznych książek? Będę wam bardzo wdzięczna.

417. Błędny Ognik do Gawędziarek. Czybyście nie chciały urządzić Gwiazdki dla dzieci najbiedniejszych? Moglibyśmy zebrać się w Redakcji, naturalnie z jej zgodą i pozwoleniem na „Choinkę“ a przytem „pogadać“ już nie piśmiennie. Jeżeli zgadzacie się, to niech każda coś wyszuka ze swych „starych rzeczy“ albo nowych i co z zabawek i przyśle to do Redakcji. Zgoda? A Redakcja pozwoli i przyjmie nasze dobre chęci. Czy tak?

418. Rycerka z pod błękitnego znaku do Fiołka leśnego 376. Z pewnością, że istnieją takie, które „przeszedłszy przez całe gimnazjum, nie miały zupełnie przyjaciółek“, bo, co do mnie — znam takich kilka. Pytasz, co o nich sądzić?

Myślę, że na szeregi ich składają się jednostki albo bardzo dumne, nie umiejące odkrywać przed drugimi tajników duszy własnej, albo zrażone, nieufne, może też trochę nieśmiałe, czasem — ale to już chyba najrzadziej — duchy bardzo silne, nieprzeciętne... Zresztą obojętne, kim są — w każdym razie istnienie takich jednostek samotnych do rozkosznych należeć nie może, a nawet z pewnością jest smutniejsze, niż się domyślamy i dlatego, co do mnie, sądzę, że zasługują na daleko więcej szacunku i zaufania od tych, co zmieniają przyjaciółki, jak rękawiczki.

Czy zgadzasz się ze mną?

ŁAMIGŁÓWKI.

ZADANIE HISTORYCZNE.

Liczby w kratkach poprzestawiać w ten sposób, by w rzędach poziomych wyszły daty znane z historji polskiej, a przekątnie (A—C i B—D) dały rok wiekopomnego dzieła narodu polskiego.

A — D

1	1	1	1
1	1	2	4
4	6	7	7
7	9	9	0

B — C

1. Zwyc. Polaków nad Turkami.
2. Utworzenie legjonów polsk.
3. Powstanie polskie w XVIII. w.
4. Unja z Litwą.



ROZWIĄZANIA ŁAMIGŁÓWEK.

Z NUMERU 8-go:

ZAGADKA GWIAZDKOWA.

W
G I L
S T E F A
S T O L I C A
W I E L K A N O C
P I S A N K I
D A N J A
D O M
C

ZAGADKA.

Dobry człowiek, jako król, szuka kogo wieńczyć,
Zły podobny do kata: szuka kogo męczyć.

ZADANIE KONIKOWE.

Zaiste Bogu miłe jest aniołów pienie, ale daleko milsze człowieka milczenie.



Z NUMERU 9-go:

UKŁADANKA KRZYŻYKOWA.

Quo vadis	Żeromski
Krzyżacy	Tetmajer
Placówka	Słowacki
Devajtis	Żuławski.



ZAGADKA WIERSZYKOWA.

O proszę państwo! wybór bogaty,
Kupujcie świeże prześliczne kwiaty!
Są też tu w koszu różne jarzyny
I czarne, słodkie, leśne ożyny.
Spojrzyjcie ino, państwo me jasne.
Iakie czerwone jabłuszka krasne;
Myślę, że także macie ochotę
Na te gruszeczki jasne i złote,
Lecz choć wypróżnię wszystkie me kosze,
Nic mi bez groszy, więc o nie proszę.

SZARADA.

Napoleon.



Z NUMERU 10-go:

REBUS.

Darowanenu koniowi nie zaglądaj w zęby.

ZAGADKA.

L D V C A I S O
i O j O a l h O r R c O o T d
b c o r u n o p a u h d u a y
i z g i c t s o g s m r r j s
t e e g l e a z o z i z d f e
i p n e u r n y n n l y i u u
n i e n s r e c i i a k n n s
a n s e e e r j t c t o a y z
y s x a a ń .



Z NUMERU 11-go:

SZARADA.

Pisanki.

ŁAMIGŁÓWKA.

B e l l i n i
W e b **e** r
P a l **e** s t r i n a
M o t z a r **t**
C **h** o p i n
M **o** n i u s z k o
V e r d i
S c h u b **e** r t
M e **n** d e l s s o h n

ZAGADKA.

Kossak.

ZADANIE KONIKOWE.

Zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje!

ZADANIE MATEMATYCZNE.

Newton Izaak 1642—1727.



Z NUMERU 12/13-go.

ARYTMOGRAF.

A
D a **n** j a
S k u **t** a r y
H a a **r** l e m
P ł **o** c k
B u d a **p** e s z t
J a b ł **o** n k ó w
W i **l** n o
B o l **o** n j a
G o r **g** a n y
A n **j** o n
a

ZADANIE ARYTMETYCZNE.

874874 : 253 = 3458.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

Dobry chrzan, ale nie sam.

ŁAMIGŁÓWKA.

Kto się lubi, ten się czubi.
Wszędzie dobrze, lecz w domu najlepiej.



Z NUMERU 14/15-go.

ŁAMIGŁÓWKA DOPISYWANA.

Błogosławione te jasne i proste
Serca, wierzące z słodyczą gołębią,
Które przetrwawszy ciężką losu chłostę,
Szlachetnych pragnień w sobie nie wyziębią.
I chociaż niemi burza nieszczęść miota,
Widzą wciąż piękno i dobro żywota.

Adam Asnyk.

SZARADA.

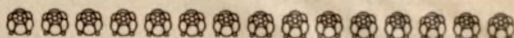
Sandomierz.



Z NUMERU 16-go:

ŁAMIGŁÓWKA LITERACKA.

L i l l a **W** e n e d a
P o p **i** o ł y
H a **n** i a
P o w r a **c** a j ą c a
A n h **e** l l i
O **n** a
P o w r ó **t** P o s ł a
W e r n **y** h o r a
C z a r n a **P** e r e ł k a
T r ę d **o** w a t a
L a **l** k a



SROSTOWANIE.

W Nr. 20 na str. 404 wiersz 15 zamiast **Słowacki** ma być **Mickiewicz.**

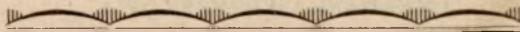
TREŚĆ Nr. 21.



Warunki prenumeraty „Dziś i Jutro": Kwartalnie 3 zł., półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 zł. — W Ameryce 2 dolary.

Za dodatek **„Mój Światek"** prenumerujący „Dziś i Jutro" dopłacają tylko zł. 1·20 za abonament do końca 1927 r.

Adres Redakcji i Administracji: **Kraków, ulica Starowiślna 3.** — Konto P. K. O. 404.930.



Wydawca i odpowiedzialny Redaktor:
Julja Felicja Bronikowska.

Odbito w Drukarni Polskiej w Krakowie.